

Maria Jolanta Opalińska

część II z II

Sygnatura notacji: **N0339**

Data urodzenia: **09.11.1940 r.**

Data nagrania: **15.11.2022 r.**

Miejsce nagrania: **Dom świadka, Milanówek, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **część I: 45 min, część II: 52 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Maria Jolanta Opalińska: Pamiętam, że było ciepło i pojawiła się grupa panów ubranych w jakieś wojskowe ubiory. No i przyszli, rozmawiali z dziadkiem, babcią, z moim tatą, z moimi rodzicami. I moja mama zaraz zaczęła znów gotować w tym największym garnku. Ci panowie zaczęli się rozbierać i kąpać w tej czystej rzece. Usłyszałam, jak rodzice i dziadkowie między sobą rozmawiali, że to partyzanci. Więc jak później, już po wojnie, rozmawialiśmy, no to też była mowa o tym, że to najprawdopodobniej byli partyzanci ze zgrupowania jakiegoś, które przedostawało się z Kampinosu, przepraszam, odwrotnie. Z Kampinosu, gdzie? Już nie pamiętam w tej chwili. Przypuszczam, że były jakieś jeszcze inne grupy, które w ten sposób właśnie się wydostawały z Kampinosu. Bo tam były nie tylko pola w okolicy, ale były również takie zagajniki. No to przypuszczam, że dosyć łatwo przez te zagajniki było im dojść właśnie tu do tego miejsca. Zauważyli, że jest woda, że jest gospodarstwo, no to tu się zatrzymali. No i też posilali się, jak już mama ugotowała coś w tym kotle dobrego, jak również odpoczywali trochę i wykąpali się.

Czy to mógł być rok 1944? Który to mógł być rok?

Maria Jolanta Opalińska: Tak. – 1944. Była również sytuacja taka, że w gospodarstwie moich rodziców przebywała rodzina mojej babci. To była młodsza siostra mojej babci, Janina, która długo przed wojną pojechała do Warszawy i tam znalazła pracę u Manowskich. Tak się nazywali ci państwo, opiekowała się ich dziećmi. Oni mieli fabrykę, fabryczkę w Warszawie, na Woli. To była fabryka, w której produkowali śruby, wkręty, nakrętki, jakieś takie metalowe rzeczy. I ja nie wiem dokładnie, nie pamiętam dokładnie, kiedy wujostwo Manowscy, przybyli do gospodarstwa dziadków. Ale właśnie ten 1944 rok, a wcześniej jeszcze przypuszczam, oni już dojechali. Być może nie

znaleźli się w getcie, ponieważ ta fabryka i produkcja tej fabryki była potrzebna Niemcom, była przydatna. No i właśnie jako właściciel, który wiedział dokładnie jak ta produkcja przebiega, więc przez jakiś czas był tam, mogli tam jeszcze mieszkać, ale później jakoś się wydostali i w jakiś sposób przyjechali właśnie tutaj do gospodarstwa dziadków. Oni właściwie się nie ukrywali. Mieszkali w tej letniej kuchni. Wujek Manowski był już chory, widać było, że on jest chory, był blady, chudy, powolnie się poruszał. I przyjechali z dwojgiem dzieci, Hania i Zbyszek. Te dzieci były starsze ode mnie. Hania, przypuszczam, że w 1936 roku się urodziła, a Zbyszek był dwa lata ode mnie starszy, więc to był 1938 rok. Ja ze Zbyszkim bardzo lubiłam się bawić, to był wesoły chłopiec, po prostu jak to dzieci bawiliśmy się, a to, a to, no wystarczyło kilka kamyków, kilka patyków i już jakąś zabawę organizowaliśmy, i rozmawialiśmy. I oni też dotrwali do końca wojny u nas, w gospodarstwie dziadków. Natomiast moi rodzice pod koniec wojny wydzierżawili gospodarstwo kilka domów dalej. Na tejże samej wsi Holendry, wydzierżawili małe gospodarstwo, dom i kilka hektarów. Chcieli samodzielnie mieszkać, ponieważ tu do dziadków sprowadziła się, za przyzwoleniem dziadków i na prośbę najprawdopodobniej, właśnie najmłodsza ich córka, Stasia. Więc my już zamieszkaliśmy pod koniec wojny w tym gospodarstwie, parę domów dalej, i tam w 1945 roku, w październiku, urodził się mój brat Leszek, młodszy ode mnie o pięć lat. No już wojna się skończyła, zaczęła się normalna praca, normalne gospodarowanie, ale niezupełnie normalne. Przyszedł czas niedobry. Jeszcze wiele spraw takich urzędowych, państwowych, nie było uregulowanych i zaczęły się takie złodziejskie napady. Do gospodarstw właśnie takich, gdzie coś można było ukraść, to było dosyć częste i u dziadków, i u nas. Znowu zaczął się bardzo niedobry, nieprzyjemny czas. Pamiętam, że znowu były pukania do okna, żeby otworzyć dom, wchodzili... Pamiętam, że rodziców stawiali pod ścianą, nie wiem, czy mieli prawdziwą broń, czy to była nieprawdziwa broń. W każdym razie i buszowali po domu. Widziałam, obserwowałam, uspokajałam mojego maleńkiego brata, a oni zabierali, co ewentualnie mogło być do zabrania. I tak to trwało dwa lata. Wujek Alek, ten starszy brat mojego taty, zaraz po wojnie wyjechał z rodziną do Żar. To jest miasto w pobliżu Zielonej Góry. Ponieważ tu Żyrardów był zniszczony, wiele fabryk przestało pracować. O pracę było bardzo trudno. No więc wujek po jakimś wywiadzie właśnie dowiedział się, że tam funkcjonuje w Żarach fabryka przedziałnicza. No i jeszcze jakieś tam były prace, na których wujek się znał i tam z rodziną wyjechał. A ponieważ tutaj była taka nieprzyjemna sytuacja. Była taka trudna sytuacja. Byliśmy ze wszystkiego okradani. No więc moi rodzice zdecydowali, że też wyjadą tam do Żar, żeby tam znaleźć pracę. Bo gospodarowanie też było trudne, bo co się urodziło, to przyszli i ukradli. Tak że pojechaliśmy tam do Żar. Rodzice ze mną i z moim bratem. Wyjechaliśmy w 1947. Ja miałam 7 lat, mój brat miał 2 lata. Zamieszkaliśmy w domu, w którym mieszkali wujostwo. Bardzo mi się w Żarach podobało. To było niewiele zniszczone miasto. Tam poszłam do szkoły. No i tam rodzice tak jakby odetchnęli. Tata zaczął razem z wujkiem pracować w tej samej fabryce... Tam była taka sytuacja, że wiele domów było przez Niemców opuszczonych. One stały puste. Powoli były zasiedlane po jakichś tam uregulowaniach w gminie czy w jakimś tam urzędzie. Tak że można było zamieszkać tam w jakimś podobnym domu. Te domy były bardzo podobne do siebie, zbudowane po niemiecku. Dosyć wygodne były, ale po dwóch latach pobytu tam, zaczęły się jakieś niepokoje, szczególnie moja mama zaczęła się niepokoić, bo były spotkania moich rodziców, poznali tam wiele ludzi w podobnym wieku. Przyjechali w podobnym celu do Żar, z centralnej Polski. Najwięcej było tam ludzi ze wschodu, wysiedlonych. Różne znajomości zawierali, świetnie się tam też czuli na początku, ale później zaczęła być atmosfera takiego niepokoju, że Niemcy wrócą, że trzeba wracać do siebie. No i po takich wielu rozmowach, nasza rodzina... Tam w Żarach, moi rodzice spotkali panią, która miała sklep. Tam moja mama wstawiała swoje wyroby, bo mama robiła na takiej specjalnej maszynie skarpetki i wstawiała do różnych sklepów, między innymi do sklepu tej pani. I okazało

się, że ta pani ma dom w Milanówku. Że jeśli chcemy wracać, to proszę bardzo, możemy tu w tym domu zamieszkać. Jakaś tam była umowa między rodzicami, a tą panią, bo ona jeszcze zostawała tam, jeszcze prowadziła ten sklep. No i w ten sposób znaleźliśmy się w Milanówku. Właśnie, najpierw tam zamieszkaliśmy, w tamtym domu, przy innej ulicy, a później rodzice kupili tutaj tę parcelę. I tutaj powoli były gromadzone materiały i był budowany ten dom. Nie było łatwo zgromadzić materiały, bo to ciągle było..., to był 1952 rok, ciągle były ogromne braki, niedostatki wszystkiego, ale został ten dom zbudowany i od 1958 roku tu mieszkamy. Ja tu skończyłam szkołę podstawową, tu skończyłam szkołę średnią w Milanówku. I bardzo szybko, ponieważ chciałam, przyszedł okres, kiedy chciałam poczuć się dorosłą. I po szkole średniej poszłam od razu do pracy. Była to praca w Centralnym Domu Towarowym. To pierwszy taki dom, który powstał w ogóle w Polsce, i w Warszawie, bo później kilka innych powstało. Przy Alejach, na skrzyżowaniu Kruczej i Alei Jerozolimskich. I tam zaczęłam pracować w dziale odzieży dziecięcej. No, poczułam się dobrze. Tak jakoś dorośle się poczułam. Później otwierali..., w 1960 roku, w tym domu towarowym zostało otwarte szóste piętro. A na tym szóstym piętrze był Dom Mody. Moda Polska, Telimena, Leda, no różne takie marki odzieżowe, które w tym czasie królowały. No i ja zostałam wytypowana do Mody Polskiej. No i pracowałam tam. Bardzo mi się podobało. Bardzo mi się podobała ta praca. Lubię modę, interesuję się modą, a poza tym tam odbywały się pokazy mody również co jakiś czas, więc stoiska były zamykane, były odpowiednie wybiegi roztawiane, no i modelki prezentowały różną odzież. A na takich pokazach mody, no to tak zwany high life przebywał. A ten high life, to byli dyrektorzy, pierwsi sekretarze partii, no i podobna elita. Ale pokazy mody były świetne. Ubrania wtedy w tych stoiskach były z bardzo dobrych materiałów, szczególnie w Modzie Polskiej. Kierowniczką Mody Polskiej, pamiętam dokładnie, była pani Grabowska, która absolutnie pilnowała, żeby wszystko było, jak ona mówiła, tip-top, tip-top musiało być. No i było. Były naprawdę rzeczy dobre, ze wspaniałych materiałów. Chętnie tam się sama ubierałam i moje koleżanki. No, ale po pewnym czasie jednak zaczynało mi dokuczać to, że tam była praca na zmiany. Albo rano od 8:00 do godziny 14:00 [do 16.00] albo po południu od godziny 14:00 do godziny... Osiem godzin, no od 14:00, to było do 20:00 [do 22.00]. Byłam młoda, to mi zakłócało trochę moje życie towarzyskie, bo trudno było właśnie jakoś zorganizować sobie to życie. No i nie wiem, czy to jest ciekawe, moje dalsze życie. Później, pewnego dnia przyszła do mnie koleżanka, która pracowała tam w sąsiednim stoisku, tam w tej dziecięcej odzieży. Byłyśmy zaprzyjaźnione, bywałyśmy u siebie. Ona bywała tutaj u mnie w Milanówku. Ja bywałam u niej. Mieszkała niedaleko Wilanowa, – w Klarysewie. W Klarysewie. Nawet takie nazwy wypadają mi teraz. A byłam tak zaprzyjaźniona z tym miejscem. Piękne miejsce, które tam, gdzie Janka... Ona miała na imię Janka, ta koleżanka moja bliska. To miejsce jest już ogrodem botanicznym. Powsiński Ogród Botaniczny rozrósł się dalej, więc Janeczka przyszła do mnie i mówi: „Jola, jest praca. Trzeba sekretarzować w gmachu Ministerstwa Rolnictwa jakiemuś dyrektorowi i jakimś wicedyrektorem”. I ja mówię: „No proszę bardzo, to idź do tej pracy”. „Nie, ja nie idę, ja się nie nadaję, ale ty na pewno sobie dasz radę”. Ja mówię: „A skąd taka pewność, skąd uważasz, że...?”. „Oj dasz sobie radę na pewno, marudzisz, że tutaj pracujesz na zmiany, a tam nie będziesz pracowała na zmiany”. Ja mówię: „A wiesz co, rzeczywiście. Pójdę, zapytam, rozejrzę się, no i może rzeczywiście będzie mi odpowiadała ta praca”. No i faktycznie zgłosiłam się tam i pan dyrektor, do którego zaprowadził mnie kierownik kadr, znajomy właśnie Janeczki, i to przez niego ta praca, to on Janeczkę prosił, żeby ona albo tam zaczęła pracować, albo żeby znalazła kogoś do tej pracy. No więc znalazłam się u pana dyrektora, zostałam przedstawiona. Pan dyrektor mnie obejrzał, usłyszałam jakie miałabym tam zadania. Powiedziałam: „Właściwie spróbować mogę. Ewentualnie przecież później znajdę sobie jakąś inną pracę”. Bo to był taki czas, kiedy bezrobocia prawie nie było. Praca była. Tylko, że nie zawsze była ciekawa praca. Więc zaczęłam pracować, oczy-

wiecie po kilku tygodniach, kiedy załatwiłam wszystkie formalności tutaj w domu towarowym. No, trochę smutno mi było rozstawać się z koleżankami. Ale daleko nie pracowałam, po prostu przy ulicy Kruczej w dalszym ciągu, Krucza, Wspólna i już też nie pamiętam tej trzeciej ulicy. Zaczęłam pracować jako sekretarka. Wprowadzała mnie do tej pracy pani, która czekała tylko, żeby wreszcie kogoś zatrudnili, bo ona chciała stamtąd odejść i chciała pracować również tam, w tej instytucji, która się nazywała Zjednoczeniem Hodowli Roślin. Było to Zjednoczenie Hodowli Roślin. Pani Basia wprowadzała mnie do tej pracy, no więc powoli się wdrażałam. Najgorsze było to, że stało tam osiem telefonów, osiem czarnych telefonów, które nie miały żadnych światełek. Które dawałyby znać, że właśnie ten telefon dzwoni, trzeba było tylko nauczyć się odróżniać dzwonki tych telefonów. No, po jakimś czasie nauczyłam się tych dzwonków. Zaczęłam już samodzielnie pracować w tym sekretariacie i nawet dobrze mi się pracowało. W międzyczasie skończyłam taką policealną szkołę. Pisanie na maszynie, stenografia i prace biurowe. Tak że byłam przygotowana już do pracy biurowej. Po trzech latach pracy w sekretariacie, przeniosłam się do innego działu, do innej pracy. Też była to ciekawa praca, ponieważ tam byli, w różnych stacjach hodowli roślin, pracowali pracownicy naukowcy, którzy pracowali przy nowych odmianach. Przy nowych odmianach pszenic, przy nowych odmianach buraków, przy nowych odmianach traw. No i ci panowie wyjeżdżali na różne spotkania zagraniczne, na różne szkolenia, na różne sesje naukowe. No i trzeba było przygotowywać wszystkie materiały. To znaczy temat wyjazdu, czas wyjazdu, ile osób wyjeżdża. Trzeba było również paszporty załatwiać. Taka to była moja praca i w tej pracy pracowałam do czasu, kiedy moje dzieci zaczęły się rodzić, bo już wcześniej, w międzyczasie, wyszłam za mąż, zamieszkałam w Warszawie. Mój mąż, a ojciec moich dzieci, był inżynierem z wykształcenia. Zamieszkaliśmy na Żoliborzu i później to już właściwie... Jeszcze inne były prace, jak rodzice zaczęli chorować, to ja zmieniłam sposób pracy na pracę, żebym mogła w domu pracować, żebym była samodzielna. Otworzyłam taką działalność własną, robiłam wyroby dziewiarzkie. I na maszynie, i ręcznie również, nie tylko sama, ponieważ oficjalnie otworzyłam tę działalność, więc zatrudniałam niektóre osoby. Poza tym, cóż ciekawego mogłabym powiedzieć? No, skąd się znów znaleźliśmy w Milanówku? Moi rodzice zaczęli poważnie chorować. Potrzebowali pomocy, potrzebowali opieki. Ja byłam najbliżej, ponieważ mieszkaliśmy w Warszawie, a moje rodzeństwo, bo mam brata, jak już mówiłam, i mam siostrę, która jest też ode mnie dużo młodsza, ale oni mieszkają dalej. No i tak wszystkim się wydawało, że mnie jest najbliżej w związku z tym, no to najlepiej by było, jakbym ja tu ponownie wróciła do Milanówka. No i tak się stało. Powoli wracaliśmy do Milanówka. Najpierw ja, tak na dwa domy, a później to już całą rodziną wróciliśmy. A jeszcze tylko chciałabym wspomnieć, bo to była bardzo przyjemna działalność i bardzo przyjemne towarzystwo. Tam na Żoliborzu, gdzie mieszkaliśmy, w dużym domu, przy ulicy Broniewskiego, zaprzyjaźniliśmy się z wieloma rodzinami. Było bardzo miło, bardzo sympatycznie, ale jedna z moich sąsiadek, Marysia, działała w „Solidarności”, w sposób bardzo zaangażowany i ja się do niej trochę dołączyłam. Nie byłam, aż tak zaangażowana jak ona, ale od niej przyjmowałam tę podziemną literaturę. Najpierw sami czytaliśmy, a później przekazywałam innym. Ale były okresy, kiedy Marysia prosiła: „Jola wejść ode mnie większą ilość tych gazetek, bo ja się obawiam, że będę miała sprawdzanie mojego mieszkania”. Więc ja wtedy brałam i przechowywałam albo u nas w mieszkaniu, albo u nas w wynajmowanym garażu. Tak że w ten sposób, no trochę się włączyłam w działalność „Solidarności”. Więc chciałam jeszcze dodać parę rzeczy, ponieważ trochę mi umknęły. Mój dziadek był na wojnie rosyjsko-japońskiej. Wrócił..., długo wracał z tej wojny. Wrócił bardzo wycieńczony, bardzo..., bardzo słaby, no ale doszedł po pewnym czasie do siebie. To też ciekawe, ponieważ dziadek skądś miał taką informację, że dobrze jest wspomagać się balneologią w takich właśnie problemach ze zdrowiem. No i zorganizował swoją dębową beczkę, do której nalewana była woda, ciepła, niegorąca, i do której nalewane

były wywary różnych ziół. I dziadek tam się kąpał w tej beczce. I rzeczywiście mu to pomogło. Właściwie kontynuatorem tego jest mój cioteczny brat Waldek, który jest morsem. To też on uważa, że to morsowanie podtrzymuje jego zdrowie, a ma się zdrowo i dobrze. Więc chciałam jeszcze dodać, że tam, na tej wsi, jak się później okazało, to nie wszyscy byli tacy chętni do pomocy ludziom narodowości żydowskiej. Nie tak daleko dziadków było gospodarstwo i ono jest do tej pory. Ci ludzie przyjęli najpierw ludzi tej narodowości do siebie, ale ograbili ich z pieniędzy, z kosztowności i wygnali ich. Mówiło się o tym, że ci ludzie zostali rozstrzelani gdzieś tam dalej. Zostali złapani i rozstrzelani. Tak że zupełnie inna postawa, postawa moich dziadków, którzy wiedzieli o ogromnym niebezpieczeństwie, a jednak pomagali. Inni, tam inni, słyszałam, że inni gospodarze w tej wsi i nie tylko, w okolicznych, też pomagali, bo przypuszczam, że tych ludzi narodowości żydowskiej w tamtym rejonie było sporo, bo tak jak mówiłam, w tych miejscowościach, jak Wiskiłka, Żyrardów, Grodzisk Mazowiecki, to było bardzo dużo, tam mieszkało Żydów, więc gdzieś musieli się przechowywać, a przemieszczanie się na jakieś dalekie odległości, to też było bardzo niebezpieczne dla nich. Więc przypuszczam, że w innych gospodarstwach też byli przechowywani. Tak, że niestety, tu się zdarzyła taka sytuacja. U nas w rodzinie po wojnie, nie było problemu, żeby rozmawiać o tym, że rodzice, dziadkowie, przechowywali u siebie Żydów. Bo czytałam na przykład u pana, zdaje się, Tomasza Grossa, że ludzie to się obawiali rozmawiać nawet z rodziną. A wśród sąsiadów to nie było takich rozmów. Bali się mówić o tym, że przechowywali ludzi narodowości żydowskiej. Nie zgadzam się z tym. U nas się o tym w rodzinie otwarcie mówiło. Ja przekazałam to moim dzieciom, przekazałam różnym moim znajomym, jaka była sytuacja u nas w rodzinie, po wojnie też nie mieliśmy z tym problemu. Ja miałam tu w Milanówku, parę domów dalej, przyjaciółkę moją, też Jolę, która była Żydówką, z mamą. Ojciec nie przeżył wojny, one we dwie w jakiś sposób przeżyły. Ja, jeśli ktoś chciał mi o tym opowiedzieć, to ja słuchałam, ale jeśli ktoś sam nie opowiadał, to ja nie wypytywałam. Po prostu tata mi powiedział któregoś dnia, mówi: „Jola i jej mama to są Żydówki. Ale po prostu tak Ci mówię, żebyś wiedziała”. Ale mój tata bardzo im pomagał, bo zamieszkały w takim małym domku, więc bardzo często Jola przybiegała: „Panie Tadeuszu, potrzebna jest Pana pomoc” – bo coś tam, bo zawiasy spadły, bo coś tam innego, „Proszę, niech mi Pan rower naprawi, bo mi łańcuch spadł”. Tak że absolutnie, nie było problemu, że koleżanka ze szkoły, że kolega z pracy jest Żydem, żaden problem, absolutnie. Mój mąż miał przyjaciela Żyda. To taki znany „Robinson” warszawski, który przeżył Powstanie Warszawskie i dożył do końca wojny w Warszawie, sam jako dzieciak. On się tu znalazł, w Krakowie mieszkali i cała rodzina została skierowana do getta. Byli w getcie i on i jego brat uciekli z getta. No, to była cała, wspólnie z rodzicami to ustalali, jak to zrobić. Uciekli z tego krakowskiego getta, przeróżnymi ścieżkami się przedostawali w kierunku Warszawy, bo doszli do wniosku, że tu łatwiej im będzie przeżyć, znaleźć jedzenie. Ale w pewnym momencie ten jego starszy brat zdecydował, że rozdzielają się, że w Warszawie później się spotkają. Rozdzielili się i nigdy więcej już się nie spotkali. Janek zachował zdjęcie wspólne ze swoim bratem i to była jego najwspanialsza pamiątka. Więc chciałabym jeszcze dodać o rodzinie mojej babci, o rodzinie Manowskich, którzy przyjechali tam na Holendry, do moich dziadków i tam zamieszkali. Nie wiem, czy o tym mówiłam, że wujek Manowski był Żydem. Więc jego dzieci też były i są narodowości żydowskiej czy pochodzenia żydowskiego. Było to małżeństwo mieszane. Ciocia była Polką, wujek był Żydem. No i on również nosił zarost, ponieważ był bardzo zmęczony chorobą i wkrótce po wojnie, nie wiem, to niedługo było, w rok po wojnie zmarł, ponieważ chorował na gruźlicę. Jak również niedługo po wojnie zmarł Zbyszek, ten chłopiec, z którym się bawiłam, którego bardzo lubiłam. On również był chory na gruźlicę, tak że oni zmarli. A dziadkowie, nie wiem, czy się nie obawiali tego, że tu mieszka rodzina mieszana Polka i Żyd, może znali moją ciocię, która była siostrą babci, bo wcześniej jakieś tam były kontakty przed wojną, bywali u siebie, ciocia

przyjeżdżała tu z rodziną. Tak że nie wiem, czy uznali, że są to swoi ludzie, no bo dziadkowie nie wiem, czym się kierowali, że właściwie tak oficjalnie gościli ich w tej letniej kuchni. No, oni przeżyli do końca wojny, nic się nie stało. Po wojnie były spotkania rodzinne, już pamiętam, był bliski kontakt z ciocią, z Hanią. Ponieważ ciocia bardzo lubiła do nas przyjeżdżać tu, do Milanówka razem z Hanią, bo po prostu lubiła moich rodziców. Mój tata był bratem ciocięcej Hani. No i słyszałam bardzo częste podziękowania. Ciocia bardzo często podkreślała. Ja wam bardzo dziękuję, że nam pomogliście w czasie wojny. Po wojnie tę fabrykę Manowskich upaństwowiono. Ponieważ tam była fabryka i było mieszkanie tam, na tym terenie, więc ciocia dostała mieszkanie, Hania, która już wyszła za mąż, dostała mieszkanie, tak że one mieszkają już w swoich własnych mieszkaniach. Hania miała nawet całą dokumentację, co tam zostało z tej fabryki i co zostało zabrane. I obiecywała sobie, że kiedyś wystąpi o odszkodowanie za te wszystkie maszyny, materiały, które tam dostały. No, ale z tego co wiem, odszkodowania nie wywalczyła. Natomiast od dziesięciu lat już straciłam z nią kontakt. Nie wiem... Wydzwaniałam na telefony, bo ona tam w Warszawie zmieniała mieszkanie. Mieszkała na Pradze, później się przeniosła do centrum Warszawy. No i tak mniej więcej 10 lat temu nasz kontakt się urwał. Próbowalam nawiązać na nowo ten kontakt, ale no jakoś nikt nie zna jej miejsca pobytu, tak że nie wiem, co się z nią teraz dzieje. A wracając do tego, że... No właśnie, mówiłam o tym, że tam, w tamtym rejonie wielu Żydów się przechowywało w różnych miejscach. Więc moja ciocia, młodsza siostra mojej mamy, Marysia, wyszła za mąż za Józefa Bodycha. Zamieszkali we wsi Wyczółki, w jego gospodarstwie i tam w tym gospodarstwie..., bo tam mieszkała również jego mama, wuja mama mieszkała ciągle. Ona była tam najważniejszą osobą w rodzinie. Taką miała postawę, że była osobą najważniejszą. No i to ona zdecydowała o tym, żeby tam przechowywać panią narodowości żydowskiej, też do końca wojny przeżyła tam. Nawet wujek Józek ją odwoził do stacji w Jaktorowie chyba, żeby pociągiem mogła dalej pojechać. Też się bardzo serdecznie pożegnali, też bardzo im dziękowała, no i później dała znać, przysłała kartkę z Izraela, no ale na tym też kontakt się skończył. Tu, nasi sąsiedzi, z którymi jesteśmy w bardzo dobrych kontaktach, teraz to już drugie pokolenie tutaj mieszka, czyli moje pokolenie tutaj mieszka. Natomiast rodzice, którzy byli zaprzyjaźnieni z moimi rodzicami, a ja ich znałam i też bywaliśmy u siebie, oni też przechowywali tutaj ludzi narodowości żydowskiej. Tu był mniejszy ten dom. I było tak sprytnie jakieś poddasze zrobione. Tam był niby stryszek, ale tam świetnie przechowywało się kilka osób. Też nie cały czas byli tam w tej kryjówce. Też w różnych miejscach się przechowywali, ale też dożyli do końca wojny. Tak że tych sytuacji było naprawdę dużo. Ja uważam, że w Yad Vashem jest za mało polskich drzewek.